

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

3

Przerobił J. R.

Ciąg dalszy.

— Czemu pani nie usłuchała mej przestrogi? Czy pani nie otrzymała odemnie listu z fotografią? Może pani do dziś dnia nie wie, że mąż pani, hrabia Robert Pardua, jak się sam fałszywie przezwiał, jest moim tylko, przed Bogiem mi poślubionym małżonkiem, ojcem mojego dziecka?

Krzyk przerażenia wydarł się z piersi Erny. Nie zdając sobie sprawy, z tego, co mówi, zaczęła krzyczeć:

— Nie, kłamiesz kobieto! W głowie ci się pomieszało! Otrzymałam twój list, ale to przecie niemożliwe, przecie nie mogę uwierzyć w to, co mi pisałaś i co mi teraz powtarzasz. Kto ty jesteś, kobieto?! Skąd przychodzisz do rzucania podobnych potwarzy?

— Pani mi nie wierzy? — zawołała z płaczem żebraczka i osunęła się do jej nóg. — A przecie ja mówię prawdę! Jak Bóg na niebie, tak Robert jest moim mężem. Zlituj się pani nademną i nie odbieraj mnie męża, a memu dziecku ojca!

— Wielki Boże! To waryatka! — wyszeptala Erna zbierałymi ze wzruszenia i współczucia wargami.

— Byłam u niego na zamku Schleinitz, błagałam go, aby pani nie oszukiwała i wrócił do swej prawowitej małżonki i dziecka — ciągnęła dalej nieszczęśliwa. — Ale ten potwór chciał mnie zabić — teraz z pewnością jest przekonany, że ja nie żyję — ale ja żyję i praw moich do niego się nie zrzeknę — kończyła gorączkowo, a oczy jej płonęły tak, że prawie groźnie patrzyła na Ernę. — On do mnie należy i do mego dziecka! Pani nie ma prawa nazywać go swoim mężem!

Erna nie była w stanie słowa wymówić. Wtem na progu pokoju stanął hrabia Robert. Na widok tej sceny stanął jak skamieniały i oczy otworzył szeroko, kiedy w nieznanym poznał swoją własną, tak podle zdradzoną żonę. Spostrzegła go Erna i z krzykiem przybiegła do niego, tuląc się do jego piersi jak spłoszone ptasze.

— Robercie — rzekła drżącym głosem — powiedzże tej biednej kobiecie, że się myli, że ty nie jesteś jej mężem, ale...

Nie mogła dokończyć. Żebraczka jak szalona rzuciła się na hrabiego.

— Wyznajże raz, Robercie, że ją oszukałeś! — wołała. — Powiedz jej, że ja jestem twą żoną, a przebaczę ci wszystko, co ze mną na zamku zrobiłeś! Gdzieś podział nasze dziecko? naszego Fredzia? Co z nim zrobiłeś?

Błada twarz hrabiego przybrała wyraz okrutnego, zimnego szyderstwa. Objął z gracyą kibić Erny i wyniosłym ruchem ręki wskazał żebracze drzwi, mówiąc:

— Wyjdź stąd kobieto! Musiałaś rozum stracić! Ja cię nie znam i nie rozumiem twego bredzenia. Ale — pohamował się nagle, wyjął z kieszeni portmonetkę i łagodnym głosem rzekł: Masz, weź to sobie. Widać, że jesteś w biedzie, nędza ci rozum pomieszała.

Przerwał mu przeraźliwy krzyk. Żebraczka w najwyższym wzburzeniu rzuciła mu pieniędzmi w twarz.

— Łotrze! — zawołała. — Zatrzymaj sobie te przekłete pieniądze! Oddaj mi moje dziecko! Tylko dziecko mi oddaj! Uciekłeś odemnie i nawet się o dziecko nie troszczyłeś.

— Biedaczka jest rzeczywiście waryatką — ozwał się hrabia zupełnie spokojnie. — Byłoby najlepiej oddać ją do zakładu dla obłąkanych, bo inaczej może wyrządzić Bóg wie ile złego.

Mówiąc to, zadzwonił na służącego, a kiedy ten wszedł rozkazał surowo:

— Wyrzucić mi z domu tę kobietę. A na drugi raz nie puszczajcie mi tu takich włóczęgów!

Służący chciał ją wziąć za rękę, ale nieszczęśliwa odepchnęła go i raz jeszcze rzuciła się na hrabiego.

— Oddaj mi moje dziecko! — wołała. — Nie ustąpię, dopóki mi...

Służący chwycił ją jednak za ramiona i przymocował wywłókł z pokoju. Hrabia poszedł za nim, aby mu osobiście bramę otworzyć. W sieni jednak nieszczęśliwa straciła przytomność i osunęła się na ziemię. Służący stanął bezradny i wlepił wzrok w swego pana.

Naraz ozwał się dźwięk dzwonka i kiedy służący otworzył, do sieni weszli dwaj panowie, znany już Czytelnikom komisarz Stein i „bezielenny“.

Przez chwilę patrzyli zdziwieni na leżącą bez życia kobietę, wreszcie wystąpił naprzód komisarz i przedstawił się.

— Czem panu mogę służyć? — zapytał hrabia Robert. — Chce pan mówić z hrabią Pardua? Ja nim jestem!

— O, myli się pan — odparł głośno i wyraźnie komisarz. — Pan nie jesteś hrabią! Tutaj — wskazał ręką na towarzysza — oto jest prawdziwy, rzeczywisty hrabia Pardua.

Jakby piorun w niego uderzył, cofnął się hrabia Robert w tył, usłyszawszy te słowa, z urzędową wypowiedzianą powagą. Potem wlepił dziki wzrok w bezimiennego, jak gdyby widział w nim upiora, z królestwa śmierci wracającego.

— Panie — rzekł wreszcie ostro, rzucając tchórzliwy wzrok na służącego, który, stojąc przy leżącej na ziemi nieszczęśliwej Małgorzacie Wilding, patrzył zdziwiony na obu przybyłych panów — czyś pan oszalał?

I detektyw, zanim odpowiedział hrabiemu, spojrzał na nieprzytomną, a w oczach zabłysły mu ogniki nieufności. Zbliżył się do nieszczęśliwej i patrząc bystro w jej twarz, zapytał ostro:

— Kto jest ta kobieta? Co się z nią stało, mój panie?

— Nic. Widzisz pan przecie, że leży zemdłona — odparł Robert ledwie zrozumiałym głosem. — Czy ja wiem, co to za kobieta? Żebraczka, waryatka jakaś. Wyrzucić ją nareszcie z tego domu — rozkazał służącemu.

Detektyw Stein chciał coś mówić, ale w tej chwili przyszła do sieni Erna i zdumiona patrzyła na przybyłych.

— Robercie! Na Boga! Co się tu dzieje? Kto są ci panowie? — zapytała, drżąc cała z przestachu.

Nareszcie mąż jej opanował się zupełnie. Zaprowadził ją do przyległego pokoju i zamykając ją, szeptał błagalnie:

— Proszę cię, odejdz do swego pokoju! To, co ja będę mówił z tymi panami, to zupełnie ciebie nie dotyczy.

Zamknął drzwi i powróciwszy do sieni, rzekł:

— Proszę panów, panowie pozwolą do mego pokoju.

W milczeniu szedł Stein z bezimiennym, a kiedy nareszcie znaleźli się w gabinecie hrabiego, przemówił detektyw, akcentując dobitnie każde słowo i wskazując na swego towarzysza:

— Pan ten jest tym samym, na którym w pościgu pospiesznym, idącym z Paryża, niedaleko Frankfurtu usiłowano popełnić zbrodnię. Identyczność nieszczęśliwego została ostatecznie stwierdzoną. Pan ten, jak już mówiłem — to hrabia Robert Pardua!

— A ja panu raz jeszcze, mój panie, odpowiem, że twierdzenie to jest po prostu — śmieszne! — odparł hrabia pogardliwie. — Istnieje tylko jeden hrabia Pardua, a tym jestem ja!

Szare oczy detektywa wgrażały się formalnie w oczy hrabiego, który jednakże wytrzymał tym razem próbę.

— Pan hrabia — zaczął Stein na nowo, wskazując na towarzysza — twierdzi, że pan jesteś identyczny z jego mordercą i że pan mu ukradłeś papiery.

Jakby go żmija ukąsiła, zerwał się hrabia i jednym skokiem znalazł się obok bezimiennego.

— Czyś pan oszalał? — krzyknął. — Nie zdajesz pan sobie sprawy z tego, jak mnie pan obrażasz, a pan, panie komisarzu — tu zwrócił się do Steina — pan wierzysz bredniom takiego durnia i przychodzisz pan z oskarżeniem do mego domu, zażywającego powszechnej czci?!

— Przychodzę do pana jako urzędnik i żądam od pana tylko odpowiedzi na moje pytania. Z tym panem nie masz pan wogóle nic do czynienia; a teraz proszę mi pokazać pańskie papiery.

— Mój panie — syknął hrabia — to jest gwałt, którego płazem nie puszczę. Ale papiery panu pokażę, dlatego, bo szanuję ustawę.

I z podniesioną wysoko głową, z oczyma błyszczącymi gniewem, podszedł do biurka.

— Tutaj, mój panie, tu są moje papiery. Proszę je przeglądać, ale dokładnie.

Stein zaczął przeglądać papiery, a oblicze jego coraz bardziej się chmurzyło.

— Jeszcze jedno pytanie: Gdzie leżą pańskie dobra?

— W południowej Francji — odpowiedział hrabia spokojnie.

— Mógłbyś pan może udowodnić świadkami, że pan jesteś prawdziwym hrabią Pardua? Może pana zna który z zarządców pańskiego majątku?

— Pańskie egzaminowanie graniczy z bezcelnością, mój panie!

— Proszę o odpowiedź! — odparł zimno detektyw.

— Nie byłem jeszcze nigdy w moich dobrach, więc ludzie znać mnie nie mogą.

— Wybacz pan, w to jednak trudno uwierzyć.

— Dość tych obelg! — krzyknął hrabia błądzą z gniewu. — Jednak, żeby to nareszcie raz skończyć, przeczytaj pan sobie ostatni list mojej nieboszczki matki, pisany przez nią do zmarłej już również radczyni Solms!

Stein wziął list do ręki i rzeczywiście przeczytał, co następuje: „Syn mój odbywał mnóstwo podróży, ale, choć się to dziwnem wydać może, w dobrach swoich nie był ani razu“. Przeczytawszy to, oddał list hrabiemu.

— Jeżeli mi pan mimo to jeszcze nie wierzy, to proszę zatelegrafować do zarządcy Dewala zapytaniem, czy widział kiedy swego pana. Otrzymasz pan odpowiedź przeczącą. A teraz zdaje mi się, żeśmy już skończyli tę wcale nieprzyjemną rozmowę. Mam nadzieję, panie komisarzu, że na przyszły raz głębiej się pan zastanowisz, zanim pan przyjdiesz do kogo z tak ciężkimi zarzutami, jak do mnie.

Skinął im głową i wyszedł, pozostawiając komisarza i bezimiennego w męczącym zakłopotaniu.

ROZDZIAŁ VI.

Sen czy mara?

Erna domyslała się, że do męża jej przyszedł nie kto inny, jeno urzędnik policyjny. Widziała to po minie Steina, który stał przed hrabią jakby potentat jaki, pewny siebie, bo chroniony powagą ustawy. I młoda żona czuła coraz większą odrazę do swego męża, którego nie tylko kochać nie mogła, ale którego się już teraz bała.

Hrabia Robert przyszedł wieczór do jej pokoiku. Prosiła go, aby jej jasno i dokładnie wytłómaczył swój stosunek do Małgorzaty Wilding, która przecie nie wysłała sobie z palca bajki, że jest jego żoną. Robert chciał ją zbyć na razie drwinami i uporczywem twierdzeniem, że nieszczęśliwa Małgorzata jest jeno waryatką i że wszystkie jej skargi i żale są tylko majaczeniami obłądkiem przyćmionego umysłu, ale wreszcie rozgniewał się i brutalnie zakazał jej mówić o natrętnej żebraczce. Ponadto oznajmił jej, że jej nie wolno zająć się losem nieszczęśliwej, bo to uwłaczałoby godności hrabiów Pardua, poczem wzburzony wyszedł z pokoju.

Biedna Erna usiadła na fotelu i zaczęła płakać. Przyszła jej na myśl Elżbieta.

— Gdyby Linka żyła — mówiła sama do siebie — byłaby mi przecie dopomogła do rozjaśnienia tej tajemnicy. Nie kocham Roberta i kochać go nie mogę, chociaż grzechem jest sama myśl o tem.

Serce jej się ścisnęło rozpaczonym żalem. Bolesć uniosła ją tak, że wybuchła głośną skargą:

— Matko moja! Czemuś ty odemnie wymogła przyrzeczenie, że zostanę żoną hrabiego Parduy? Przecie z nim szczęśliwą być nie mogę. Tyś mi szczęście wydarła, mateczko! Bo gdyby nie ty, byłabym dzisiaj żoną Stürmera, którego kocham i który mnie kocha, bo sam to wyszeptał przy moim łóżku, przekonany, że jestem nieprzytomna i że go nie słyszę!

Ale opamiętała się. Podeszła do okna, przycisnęła czoło do zimnych szyb i wyjrzała na ulicę. Wiatr wył jak opętaniec, niosąc tumany śniegu. Zawieja rozsiała się z całą potęgą. Widok burzy, zimno, oprzytomniły Ernę. Zmęczona podeszła do łóżka i po chwili zasnęła ciężkim, niespokojnym snem. Po kilku bowiem minutach zerwała się nagle i utkwiała wzrok w przeciwną ścianę. Usiadła na łóżku, nie mogąc ani wstać ani słowa z piersi wydobyć, jakby jej kamień ciążył na piersiach.

Cóż się stało?

W pokoiku było cicho. Nocna lampka rozsiewała łagodne swoje światło po meblach, które Erna mogła jeszcze rozpoznać. Ale nagle oczy jej utkwily przerażone na przeciwną ścianę.

— Wielki Boże! — krzyknęła.

Kiedy się kładła spać, stała tam łóżko z białym baldachimem; teraz zaś — czuła, jak zimne krople potu występują jej na czoło — stała tam wysoka czarna trumna!

— Linko! — chciała krzyknąć przerażona, ale głos zamarł jej w gardle. Ujrzała, że wieko trumny powoli się podnosi, a z trumny wyłania się powoli twarz jej zmarłej siostry.